



## Stanisław Korcył 1925–1985

Dziedzictwo sztuki pomagania w cierpieniu obejmuje dokonania bardzo znane, ale także mniej znane, a nawet całkiem bezimienne. Dzieło niektórych postaci jest znane w najdrobniejszych szczegółach, dzieło innych żyje zwykle tak długo, jak długo żywa jest pamięć o nich. Postać i dzieło Stanisława Korcyły niezwykle żywe w miejscu, gdzie pracował i w ludziach, którzy go spotkali, niewątpliwie zasługują na przypomnienie. Temu służą poniższe fragmenty wspomnień (red.)



Stanisław Korcył urodził się w Pęcławicach w powiecie sandomierskim 21 czerwca 1925 roku. W czasie okupacji uczęszczał na komplety tajnego nauczania. Świadectwo dojrzałości otrzymał w Liceum w Ostrowcu Świętokrzyskim w 1946 roku. Dyplom ukończenia studiów w Wyższej Szkole Higieny Psychiczej w Warszawie uzyskał w roku 1950, ale już w czasie studiów, od 1948 roku był zatrudniany jako psycholog w pracowni psychotechnicznej Kolei Państwowych. Studia na Wydziale Pedagogicznym Uniwersytetu Warszawskiego zakończył w roku 1961, uzyskując tytuł magistra psychologii. Od 1955 aż do śmierci w dniu 4 września 1985 roku pracował nieprzerwanie w Szpitalu Drewnica, w Żąbkach, koło Warszawy.

Oddany chorym bez reszty, nieustrudzenie przez ponad 30 lat służył im swą wiedzą i sercem. Umiał pomóc każdemu, nawet pacjentom z zaawansowaną nerwicą natręctw, gdy trafiali do szpitala bezradni i załamani po wcześniejszych nieudanych próbach leczenia. Początkowo korzystał z psychoanalizy, w której szkolił się w Czechosłowacji. Wnikliwość i intuicja psychologiczna kazała mu szukać innych wyjaśnień niż teorie Freuda. Studiował w oryginale (jako samouk angielskiego) niedostępne wówczas w tłumaczeniu dzieła Horney, Sullivana, Ellisa i innych. Był pionierem w stosowaniu psychoterapii racjonalnej w Polsce. Nie stworzył własnej szkoły, ale wypracował metodę psychoterapii skuteczną zarówno w leczeniu nerwic, jak i psychoz, którą nazywał „racjonalne-realistyczną”. Twierdził, że cierpienie psychiczne ma źródło w głęboko zakorzenionych nieracjonalnych poglądach i sądach wartościujących, które uruchamiają zaburzające emocje i nieprzystosowanie zachowania. Znalezienie ich i zrozumienie wymaga pracy i czasu, ale daje szansę na pozytywną zmianę i zdrowie.

Pracował z pacjentem nad wyszukaniem niepasujących do rzeczywistości i zaburzających go przekonań. Skupiał się nad zagadnieniami wartości osobistej i społecznej, problemami akceptacji i odrzucenia, neurotycznymi potrzeba-

mi, a w szczególności – neurotyczną potrzebą samoobrony. Dar rozumienia i empatii pozwalały pacjentom czuć w nim przyjaciela. Dawał im wsparcie, służył wszechstronną wiedzą, uczył racjonalnego myślenia i aktywnego podejścia jako narzędzia do osiągnięcia równowagi psychicznej i satysfakcji w życiu. Od psychoterapii nerwic przeszedł do leczenia psychoz. Podejmował pracę psychoterapeutyczną nawet z pacjentami głęboko zaburzonymi, bez rzeczowego kontaktu, doznającymi urojeń, agresywnymi. Efekty jego metody psychoterapeutycznej były spektakularne, zyskiwały mu wdzięczność i szacunek pacjentów. Głęboko humanistyczna postawa, urzekająco pogodna filozofia życia przyciągały do niego ludzi.

Serdeczny i życzliwy, zawsze chętnie służył pomocą. Organizował szkolenia, brał czynny udział w życiu zawodowym, publikował swoje prace w czasopiśmie psychologicznych. Za swoje pracowite życie poświęcone w całości służbie chorym psychicznie nie doczekał się odznaczeń ani rozgłosu. Niedoceniany a często nierozumiany nawet przez najbliższych współpracowników, satysfakcję czerpał z codziennej pracy. Aż trudno uwierzyć, że codziennie od 8 rano przyjmował jednego pacjenta po drugim i tak nieprzerwanie przez tygodnie, miesiące i całe 30 lat. Nie szukał rozgłosu ani kariery. Wybrał niełatwą drogę cichego poświęcenia życia innym. Przedwczesna śmierć nie pozwoliła mu na opracowanie wyników własnej pracy. Poruszeni jego nagłą śmiercią pacjenci w dowód wdzięczności założyli stowarzyszenie i nadali mu nazwę *Racjonalna Alternatywa, czyli Akademia Uczuć im. Stanisława Korcyły*, której celem jest rozświetlenie imienia oraz niesienie wzajemnej pomocy w duchu szerszych przez Stanisława Korcyły wartości.

Autor nieznan<sup>1</sup>

\* \* \*

<sup>1</sup> autora tego wspomnienia nie udało się ustalić

Magistra Stanisława Korcyła i opowieści o Nim poznałam, kiedy zaczęłam pracę w Drewnicy w 1977 roku. Później miałam okazję toczyć z Nim częste rozmowy o Jego drodze do Pracowni Psychoterapii, w której wtedy już pracował. W początkach swojej drogi zawodowej spotkał się z jedyną rolą psychologa w szpitalu, rolą pomocnika w diagnozie psychiatrycznej. W tamtym okresie w Szpitalu było zatrudnionych w sumie czworo psychologów, którzy w ten sposób funkcjonowali. Jak mawiał, od początku był przekonany, że pacjentom można pomóc nie tylko lekami a diagnoza ma być początkiem pomagania, w którym chce uczestniczyć. Postanowił po prostu rozmawiać z pacjentami. Okazało się, że te rozmowy przynoszą efekty, pacjenci czuli się lepiej. Doceniła je ordynator oddziału, w którym pracował. Lekarze z innych oddziałów zaczęli kierować do Magistra pacjentów, który mógł się skupić tylko na psychoterapii. To był załączek Pracowni Psychoterapii, która formalny status, jako odrębna jednostka organizacyjna w Szpitalu, uzyskała około roku 1975. Magister Korcyl prowadził psychoterapię w trybie ambulatoryjnym, indywidualną i grupową. Trafiali tam głównie pacjenci z terenu Szpitala, z rozpoznaniem psychoz, ale nie tylko. W miarę upływu lat jego działalność stała się znana poza murami Drewnicy. Spotykał się także regularnie z kilkoma pacjentami nazywanymi wtedy „chronicznymi”, przebywającymi wiele lat bez przerwy w Szpitalu. Jego mottem było – nie ma przypadków beznadziejnych. Pamiętam jak kiedyś w wiosce roztaczał wizję czegoś, co nazywałabym dzisiaj wioską terapeutyczną – miejscem, w którym pacjenci mieszkają, zajmują się codziennymi sprawami, panuje tam klimat szacunku dla każdej osoby i duch przekonania, które uznawał za racjonalne i leczące z zaburzeń. Mawiał, że dopiero wtedy rezydenci Drewnicy mieliby dużą szansę na poprawę stanu zdrowia.

Metodę, którą się posługiwał nazwał psychoterapią racjonalno-realistyczną. Jej podstawowe założenia były zaczerpnięte z teorii Alberta Ellisa, którą łączył z teorią Karen Horney. Można powiedzieć, że stosował psychoterapię poznawczą w czasach, kiedy nie była ona w ogóle znana w Polsce i był terapeutą eklektycznym w czasach niesprzyjających takiemu stanowisku.

Sądzę, że poza metodą, bardzo istotnym czynnikiem w leczeniu był On sam – silne i autentyczne przekonanie, że każdy człowiek bez względu na to, jakie ma objawy, jaki charakter, jest wartością samą w sobie i należy mu bezwzględny szacunek. Przekonanie, że każdy pacjent może być partnerem w leczeniu. Mówił, że psychoterapia to jest taka relacja, w której wspólnie, On i pacjent badają nieracjonalne poglądy będące źródłem zaburzenia i wspólnie zastanawiają się nad ich zasadnością. Porównywał to z eksperymentem naukowym – jest dwóch badaczy, przedmiotem badania jest zaburzenie. Metodą badawczą jest dialog, który, o czym wiem po latach, które upłynęły od czasu, kiedy się z nim zetknęłam, nazywany jest w psychoterapii poznawczej dialogiem sokratejskim. Przekonanie, że każdy człowiek jest natury dobry, a to, co nim złe w postawie do siebie i ludzi wynika z jego nieracjonalnej filozofii życiowej nabytej w trakcie wychowania. Przekonanie, że nie ma jakościowej różnicy między zdrowiem i chorobą psychiczną.

On nie tylko myślał humanistycznie, on był humanistą.

## Sokrates z Ząbek<sup>2</sup>

(...) Dla mnie tym ważnym przełomem w moim życiu i też nie pozbawionym swoistego piękna było moje spotkanie z Korcylem. Dzisiaj, gdy minęło ponad dziesięć lat od Jego śmierci potrafię z perspektywy tego kawałka mojego życia lepiej docenić to, co od Niego dostałem. Wiem, że ta „dobra wiedza” będzie mi towarzyszyć do końca moich dni.

(...) A nawet jestem pewien, że podobnych jak mój tekstów powstanie więcej i może uda się z tego zrobić jakąś małą książeczkę. Oczywiście nie z myślą, żeby budować Korcyłowi jakiś pomnik, bo jestem pewien, że nie życzyłby sobie tego. Ale głównie z tego powodu, by dać wielu ludziom cierpiącym dobrze uzasadnioną nadzieję, że z tzw. „chorobami psychicznymi” można dać sobie radę. Bo nawet taka krańcowa diagnoza, o którą wcale nietrudno, jak schizofrenia paranoidalna wcale nie oznacza, że nie mamy szans na skuteczne i satysfakcjonujące funkcjonowanie w naszym społeczeństwie, w rodzinie, towarzystwie, w pracy zawodowej.

Poznałem Korcyła w okolicznościach dla mnie bolesnych i dramatycznych zarazem, w sytuacji, która przedtem wydawała mi się całkowicie wykluczona. Byłem mianowicie pacjentem Szpitala dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych Drewnica w Ząbkach pod Warszawą. I oczywiście będąc tam na „przymusowych wczasach” zyskałem etykietkę chorego psychicznie ze straszną diagnozą, która dla przeciętnego obywatela tego kraju przypomina coś na kształt wyroku śmierci.

Dzisiaj wiem, że gdybym miał choć odrobinę doświadczenia i wiedzy w zakresie psychiatrii być może w ogóle nie byłbym pacjentem szpitala, szpitala w którym sam fakt przebywania stał się moim głównym problemem i w związku z tym pobylem przeżywałem koszmarne lęki traktowane przez psychiatrów jak objawy choroby. (...) Ale przecież, jak w przysłowiu, „Nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło.”, gdybym nie był w szpitalu, nie poznałbym Korcyła, nie poznałbym Stasia...

Lekarka prowadząca mnie, pani Małgorzata L. w którejś kolejnej rozmowie powiedziała do mnie (to już blisko osiemnaście lat temu, a więc mogę coś przekreślić) – „Kieruję cię do Korcyła, bo tylko Korcyl może ci pomóc”. Wtedy pierwszy raz dowiedziałem się, że pracuje tu Stanisław Korcyl. Zanim jednak powędrowałem na pierwszą psychoterapię indywidualną musiałem napisać swój życiorys. Poszło mi to dość łatwo i już po paru dniach, może tygodniu, ktoś zaprowadził mnie do oddziału IV D, gdzie na pierwszym piętrze miał swój pokój magister Korcyl.

Choć to może okrutne, ale gdy poznajemy kogoś nowego trudno jest przecenić wagę pierwszego wrażenia. I zdarza się, że już na samym początku kogoś źle ocenimy. Coś nam się nie spodoba, mogą to być mało istotne szczegóły, wyraz twarzy, barwa głosu, ubiór, jakiś gest i od razu nastawiamy się nieufnie. Nawet w zwykłych kontaktach międzyludzkich odgrywa to dużą rolę, a co dopiero w kontakcie psychoterapeuta – pacjent, gdzie przecież bez dużego zaufania ze strony pacjenta trudno w ogóle mówić o jakichkolwiek wynikach. Dla mnie Korcyl był takim mistrzem pierwszego kontaktu. Nie oznacza to jednak, że moja pierwsza psychoterapia była bez reszty temu poświęcona To raczej działało

się niejako po drodze. Myślę, i dalsze moje z nim spotkania potwierdziły to, że w kontaktach z pacjentem był po prostu sobą. I chyba już na pierwszej sesji, gdy otworzyłem drzwi i zobaczyłem pana w średnim wieku z charakterystycznym wąsikiem i fajeczką w ręku nie rozpoznałem w nim kogoś, kto chce nade mną dominować. A potem, gdy nie starał się mnie w tani sposób kupić częstując papierosami czy herbatnikami, uświadomiłem sobie, że nie traktuje mnie jak chorego, ale jak człowieka z problemami.

Moją pierwszą psychoterapię, a wiedział o mnie Staś bardzo niewiele (dokumentacja lekarska i życiorys), poświęcił Korcyl uświadomieniu mi jednego z moich ważnych problemów. Już po paru minutach rozmowy zadał mi oto takie pytanie: „pan tak dużo uczył się, czytał książki, zdobył dyplom wyższej uczelni, a tak naprawdę po co pan w to włożył tyle siłku?”

Roztrząsaliśmy to chyba z pół godziny, a on nie rezygnował. Gdy zanadto „odpływaliśmy” wracał do tego pytania. Nawet miałem przez moment poczucie, że chyba musi mieć jakąś przyjemność w wykazywaniu mi absurdalności moich odpowiedzi. Ja złościłem się i musiał przecież to odbierać, a On pozostał niewzruszony i ani przez moment nie dał mi odczuć, że odwzajemniał to moje uczucie. Właśnie dzięki jego konsekwentnej postawie przyszedł moment, że uświadomiłem sobie prawdziwy cel mojego uczenia się i wypowiedziałem to. A On nie starając się tym razem korygować mojego błędnego myślenia chyba ocenił, że jak na pierwszą sesję to i tak wystarczy i zaprosił mnie na najbliższe zajęcia psychoterapii grupowej.

Dzisiaj jestem mu bardzo wdzięczny za tę pierwszą psychoterapię. Może gdyby jej przebieg był inny zrezygnowałbym i nigdy go już nie spotkał. Ominęłaby mnie możliwość zgłębienie Jego oryginalnego i dobrze uzasadnionego i korzystnego dla ludzi sposobu myślenia i odczuwania,

Korcyl uczył nas, że człowiek ma nieskończenie wiele cech i ciągle mniej lub bardziej rozwija się. Oczywiście, z wiekiem pewne wrodzone właściwości mogą nawet maleć. I dla każdego jest oczywiste, że nasza siła fizyczna, sprawność intelektualna maleją, gdy mija młodość i zbliżamy się ku starości. Mimo to nasze różne, nawet najbardziej prozaiczne doświadczenia mogą stać się i na ogół stają się źródłem nieustannego rozwoju. Mając to wszystko na uwadze, tę własność ludzkiej natury, właściwie uświadomiam sobie, że próba opowiedzenia o Korcyli z góry skazana jest na swego rodzaju ułomność. Wiem, że gdy już zakończę ten tekst, pozostanie we mnie uczucie pewnego niesmaku, pozostanie pewność, że jak gdybym dotknął tylko wierzchołka góry lodowej, a to co może najciekawsze, najcenniejsze i najbardziej godne opisanie zostanie nieodkryte.

(...) Znałem Korcyła sześć lat. Psychoterapia, na którą uczęszczałem, to w każdym tygodniu spotkania grupowe we wtorki i czwartki, czasami w soboty i te kilkanaście chyba sesji indywidualnych. Oczywiście nie stanowiłem jakiegoś szczególnego przypadku, który sobie upodobał, a byłem jednym z wielu. Dzisiaj myślę, że ze strony Korcyła takie długie zajmowanie się pacjentami było świadomą decyzją. Sądzę, że mając do wyboru powierzchowne leczenie, które tak naprawdę nic by nie pomogło, a nawet mogłoby zaszkodzić, zdecydował się na czasochłonną i długą, ale jak pokazuje życie, skuteczną drogę. Choć miał wielu pacjentów, do

dzisiaj nie wiem jak to robił, że gdy ktokolwiek przychodził do niego po pomoc psychologiczną, to jednak po jakimś czasie znajdowało się dla niego miejsce w grupie.

Dla Korcyła psychoterapia nie była zawodem, zajęciem, które przynosi dochody pozwalające bardziej lub mniej dostatnio żyć. Dla niego była to pasja, szczególnego rodzaju powołanie a nawet, nie boję się użyć tego słowa, misja. Psychoterapia to sprawa, której poświęcił na dobrą sprawę całe życie.

I była to sprawa, dla której bez trudu rezygnował z wielu atrakcyjnych możliwości. Dobrym przykładem było to w jakich warunkach mieszkał. Przekonałem się o tym podczas paru wizyt, jakie z kolegą złożyliśmy mu w domu, niewielkim (pokój z kuchnią) mieszkaniu służbowym, położonym na terenie Szpitala w Żąbkach. To było wiele lat temu, ale pamiętam prosty stół, wersalkę, parę krzeseł, jakiś regał wypełniony książkami i zegar z kukułką. Było też i biurko, Jego warsztat pracy. Jak nam wtedy opowiadał, gdy Jego żona o czwartej rano wyjeżdżała do pracy, wstawał i zaczynał swoje lektury. Ani podczas tych wizyt, ani kiedykolwiek nie narzekał, że to mieszkanie jest zbyt ciasne, że nie ma oddzielnego gabinetu czy też salonu by przyjmować gości. Natomiast parę razy wspominał, że właśnie mieszkając na terenie szpitala psychiatrycznego czuje się bardzo bezpiecznie, o wiele bezpieczniej niż gdzieś tam w Warszawie czy gdziekolwiek indziej.

(...) często zadają sobie pytanie co w Jego racjonalno-realistycznej psychoterapii było Jego własne, a co zaczerpnął od innych. Oczywiście nie ukrywał, że opiera się na wiedzy z różnych źródeł – Karen Horney, Rogers, Kepiński, Koziellecki, Kotarbiński, Ellis oraz inni – i lubił w rozlicznych dygresjach o tych swoich lekturach opowiadać, a chociaż ja też trochę książek z literatury psychologicznej czytałem właściwie nigdzie nie znalazłem wytłumaczenia skąd się biorą „choroby psychiczne”. Właśnie tutaj, w „zapyziałych” Żąbkach spotkałem psychologa, który potrafił mnie przekonać, że nie geny, nie jakaś tajemnicza dziura w mózgu, ale przede wszystkim moje głęboko zakorzenione przekonania prowadzą do stanu, który psychiatrzy określają jako chorobowy.

(...) jak sobie myślę, o zasadniczych tezach psychoterapii racjonalno-realistycznej, to mam takie mieszane uczucia, Z jednej strony to jest przecież bardzo proste i powinien to zrozumieć nawet ktoś mało wykształcony, a jednocześnie to jest bardzo trudne do przyjęcia, bo stoi w sprzeczności z powszechnie przyjętym poglądami.

(...) Może właśnie wtedy zrozumiałem, że o ile poglądy Korcyła, a przynajmniej te najważniejsze, można opisać na kilku kartkach papieru, to oddanie tego jak usiłował nas tego nauczyć tak naprawdę nie jest do końca możliwe. Oczywiście, nie oznacza to, że nie warto przynajmniej oddać atmosfery tych naszych z Nim spotkań.

Myślę, że dla kogoś, kto przelotnie pojawiłby się na psychoterapii charakterystyczne byłoby jak wiele w czasie tej sesji padało pytań. Na dobrą sprawę, droga jaką obrał Korcyl, próbując pomóc pacjentom, to forma dialogu, preradzająca się czasem w dyskusję, w której dominowały pytania. Od pierwszych pytań z Jego strony dotyczących samego problemu pacjenta, a przede wszystkim tego, co w danej chwili myślał i przeżywał, często dochodziło do zapytań o tak, jak klient rozumie nawet najbardziej podstawowe

pojęcia. Pamiętam, że nie łatwo było odpowiadać na te pytania, że Korcyl będąc bardzo skupionym łatwo wychwytywał wszelkie nielogiczności, ale jednocześnie nie starał się jakoś podpowiadać, podrzucać rozwiązania. To przede wszystkim pacjent miał w sobie coś odkryć, coś co może nie było do tej pory dla niego świadome. To pacjent miał siebie zrozumieć, odnaleźć błędy w swoim rozumowaniu. Korcyl nie starał się myśleć za pacjenta, a wręcz przeciwnie, starał się tylko dać mu ku temu możliwie najlepszą sposobność. Wielokrotnie wspominał, że przecież to Jego rozmówca ma szansę dotarcia do swoich uczuć i myśli, a On może mu w tym tylko pomóc. Był jak najdalszy od tego by cokolwiek sugerować, narzucać i był w tym niezwykle konsekwentny.

(...) pozwalał sobie przy okazji na wiele dygresji, które służąc lepszemu zrozumieniu przez słuchacza świata jego uczuć dotyczyły najbardziej podstawowych zagadnień z zakresu nauk humanistycznych. Bardzo lubiłem te dygresje, bo same w sobie były źródłem ciekawej wiedzy. Chociaż, by właściwie odczytać ich treść trzeba by było mieć sporą wiedzę z filozofii, historii, literatury, psychologii itd. Jestem pewien, że robił to nie ze względu na to, by zaimponować nam swoim wykształceniem, ale zdawał sobie sprawę z tego, że znikoma będzie dla nas wartość „wiedzy racjonalnej”, jeżeli nie będziemy potrafili jej obronić.

(...) Chociaż nie było wątpliwości, kto podczas psychoterapii jest postacią wiodącą, a może lepiej byłoby powiedzieć kierującą, sterującą, to przecież nie tylko Korcyl nam pomagał, ale także pomagaliśmy sobie nawzajem. Zachęcał nas do tego, a nawet było to jego zasadą, że podczas psychoterapii zabierało głos wiele osób. Korcyl sam często wychodził z inicjatywą i oddawał głos komuś innemu, prosząc, by go zastąpił, sam przechodząc do roli obserwatora.

(...) To zaproszenie nas do współpracy miało też, jak sądzę, duże znaczenie dla rozwoju tego, co nazywamy samodzielnością. Bo przecież właściwa psychoterapia u Korcyła miała miejsce poza obrębem Pracowni. Przecież naszym zadaniem było nie tylko aktywne uczestnictwo w zajęciach, ale przede wszystkim uczenie się nowych przekonań w praktyce – na randce, w domu, na uczelni. Każda okazja była dobra, by po nowemu myśleć, odczuwać i oczywiście działać.

Jestem pewien, że Korcyl nie osiągnąłby tak wiele gdyby nie Jego stosunek do pacjentów. Chociaż nie przypominam sobie, by kiedykolwiek o tym mówił, to jednak odczuwaliśmy to, że do całej grupy żywił coś na kształt sympatii. Jeśli kogoś bardziej lubił, a kogoś mniej, tak, jak każdy człowiek, to nie znajdowało to odbicia na zajęciach. Natomiast nigdy nie odebrałem, że czuje do nas swego rodzaju tanią litość, że traktuje nas jak ludzi, którzy z powodu swoich doświadczeń psychiatrycznych wymagają jakiegoś szczególnego traktowania, że nie można mieć do nas zaufania, stawiać na poczucie odpowiedzialności. Tak jak go teraz rozumiem miał chyba do nas stosunek bliski stosunkowi nauczyciela do uczniów. Starał się nas czegoś nauczyć i gdy w trakcie psychoterapii okazywało się, że ktoś z nas

rozwiązywał jakieś swoje problemy, że zrobił postępy, to było to dla Niego źródłem radości i satysfakcji.

Korcyl był nauczycielem wymagającym, ale dotyczyło to zaledwie dwóch spraw: aktywności i szczerości. Dawał temu nie jeden raz wyraz, że jeżeli będziemy na psychoterapii szczerze podchodzili do swoich problemów jednocześnie będziemy aktywnie wprowadzali w czyn nowe przekonania, to daje nam swego rodzaju gwarancję, że uporamy się ze swoim zaburzeniem. Obiecywał, że i pobyty w szpitalu nie będą potrzebne, że może leki okażą się zbędne. Może komuś będzie łatwiej skończyć wreszcie pracę doktorską, czy też uporządkować życie po burzliwym rozwodzie.

(...) Szczególnym polem do różnego rodzaju pomysłów Korcyła była druga część spotkania zwana psychodramą, w czasie której ćwiczyliśmy różnego rodzaju rzeczy, a z założenia miała być okazją do przeżywania różnego rodzaju zdenerwowania. I można tam było stać się okrutnym agresorem (takie zadanie), ale także być bezpardonowo atakowanym, bez prawa nawet do próby obrony. Na przykład, odpowiadaliśmy na temat: „trzy wydarzenia w życiu, podczas których przeżywałem największy wstyd”, by za tydzień uczestniczyć w zadaniu polegającym na odgrywaniu śmiechu. Nie było sposobu by się jakoś przygotować, bo przecież nie było wiadomo co nam Korcyl zaproponuje.

(...) Nie chciałbym stworzyć wrażenia, że Korcyl każdemu i zawsze potrafił skutecznie pomóc. Przecież za końcowy efekt psychoterapii odpowiadają dwie strony psycho terapeuta i pacjent. I chociaż mam takie przekonanie, że Stasio zawsze starał się by Jego praca przyniosła oczekiwane owoce, to często ta druga strona zawodziła. Wiele osób, które rozpoczynały terapię zbyt często wycofywało się z niej. Może czasami, po pierwszych postępach uznawali, że to już wystarczy, może wiele z nich nie zrozumiało o co w tej psychoterapii chodzi.

(...) Jak sądzę, wielką zaletą Korcyła, Jego wielką siłą było to, że zanim kogoś do czegoś przekonał, musiał najpierw sprawdzić to sam na sobie. Nie mówił na ten temat zbyt wiele, ale przez lata znajomości udało mi się zapamiętać przynajmniej dwie sytuacje, w których zastosował wobec siebie jedno z haseł z pracownianej tablicy: „ucz się na sobie samym”.

(...) Drugie doświadczenie było dramatyczne, na pewno nie zaplanowane i miało miejsce w szpitalu, gdy leżał chory na serce. On, który przez tyle lat służył pacjentom, nagle sam znalazł się w roli chorego. Potem opowiadał nam, w jak przedmiotowy sposób był traktowany, jak dalece był numerem w kartotece, a nie cierpiącym człowiekiem, któremu przecież szpital ma służyć. Mówił nam o tym nie po to, by wylewać jakieś swoje żale, a przekazać, czego się nauczył.

(...) Jestem pewien, że to, co wartościowe z Jego indywidualnych osiągnięć prędzej czy później zostanie docenione i będzie dobrze służyć ludziom potrzebującym pomocy. Mam prawo sądzić, że było to, jeśli nie jedyną, to na pewno dominującą intencją Jego działalności.

*Krzysztof Morawski*